

CZY TO GRZECH POŻĄDĄĆ KSIĘDZA?

# TESS GERRITSEN

## Grzesznik



# Prolog

## ANDHRA PRADESH, INDIE

Kierowca odmówił zawiezienia go dalej.

Półtora kilometra wcześniej, gdy tylko minęli opuszczone zakłady chemiczne firmy Octagon, szosa zmieniła się w zarośniętą chaszczami polną drogę. Teraz kierowca narzekał, że gałęzie rysują mu samochód, a po niedawnych deszczach grunt stał się błotnisty i mogą ugrzęznąć. I co wtedy zrobić? Utknął sto pięćdziesiąt kilometrów od Hajdarabadu. Howard Redfield wysłuchiwał całej litanii pretensji i wiedział, że to tylko wymówka. Nikt nie jest skłonny przyznać, że się boi.

Redfield nie miał wyboru. Dalej musi iść pieszo.

Pochylił się, by powiedzieć coś kierowcy, i poczuł ostrą woń jego potu. Zobaczył we wstecznym lusterku, na którym kołysały się pobrzękujące paciorki, że przygląda mu się uważnie ciemnymi oczami.

— Niech pan tu na mnie zaczeka, dobrze? — poprosił.  
— Tutaj, na drodze.

— Jak długo?

— Z godzinę. Ile będzie trzeba.

— Mówię panu, że nic pan nie zobaczy. Nikogo już tam nie ma.

— Proszę zaczekać. Zapłacę panu podwójnie, kiedy wrócimy do miasta.

Redfield wziął plecak, wysiadł z klimatyzowanego samochodu i natychmiast zanurzył się w oceanie wilgoci. Nie nosił plecaka od czasu studiów, gdy włóczył się po Europie, i teraz, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, czuł się trochę dziwnie, zarzucając go na zwiotczałe ramiona. Ale ani myślał ruszać się gdziekolwiek w tym malarycznym klimacie bez butelki oczyszczonej wody do picia, środka przeciw owadom, kremu z filtrem i lekarstwa na biegunkę. No i aparatu fotograficznego. Aparat jest niezbędny.

Pocąc się w wieczornym skwarze, spojrzął w niebo i pomyślał: Super, słońce właśnie zachodzi, a o zmierzchu wyroją się komary. Nadchodzi kolacja, wy małe ścierwa!

Ruszył w drogę. Ścieżkę przesłaniała wysoka trawa. Wdepnął w koleinę, zapadając się po kostki w błocie. Najwyraźniej od wielu miesięcy nie przejeżdżał tędy żaden pojazd i matka natura szybko odzyskiwała swoje terytorium. Przystanął, dysząc i oganiając się od owadów. Obejrząwszy się, zauważył, że samochód zniknął. Poczł się nieswojo. Czy kierowca na pewno zaczeka? Niechętnie zawiózł go tak daleko, a jego zdenerwowanie rosło, gdy tłukli się po coraz gorszej drodze. Twierdził, że w tej okolicy mieszkają źli ludzie i dzieją się straszne rzeczy. Mogą obaj przepaść bez

śladu i kto się pofatyguje ich szukać?

Redfield szedł dalej.

Wilgotne powietrze zdawało się go osaczać. Słyszał chlupiącą w plecaku wodę i już czuł pragnienie, ale nie przystanął, by się napić. Mając tylko godzinę do zmroku, musiał iść naprzód. W trawie brzęczały owady, słyszał też w koronach drzew głosy ptaków, niepodobne jednak do znanego mu ptasiego świergotu. Wszystko w tym kraju wydawało mu się dziwne i surrealistyczne. Wlókł się jak w transie. Po plecach spływał mu pot. Z każdym krokiem coraz bardziej dyszał. Według mapy miał do przebycia niewiele ponad dwa kilometry, ale szedł bez końca, a komarów nie odstraszało nawet ponowne użycie środka przeciw owadom. Dzwoniło mu w uszach od ich brzęczenia, a twarz swędziała od ukąszeń.

Potknąwszy się o następną głęboką koleinę, upadł na kolana w wysokiej trawie. Z trudem łapiąc oddech, wypluł kawałki roślin. Był tak zniechęcony i zmęczony, że postanowił zawrócić. Wsiądzie z podkulonym ogonem w samolot do Cincinnati. W końcu o wiele bezpieczniej być tchórzem. I o wiele wygodniej.

Westchnął ciężko i oparłszy rękę o ziemię, by się podźwignąć, zamarł nagle, wpatrzony w trawę. Wśród zielonych źdźbeł coś lśniło. Był to tylko tani blaszany guzik, ale w tym momencie wydał mu się znakiem. Talizmanem. Wsunął go do kieszeni, podniósł się z ziemi i ruszył przed siebie.

Zaledwie sto metrów dalej droga skończyła się nagle na

rozległej polanie, otoczonej wysokimi drzewami. W głębi stał przysadzisty budynek z pustaków, z zardzewiałym blaszanym dachem. Łagodny wiatr poruszał gałęziami i kołysał trawą.

To tutaj, pomyślał. Tu się wszystko wydarzyło.

Wydało mu się nagle, że oddycha zbyt głośno. Z bijącym sercem ściągnął plecak, rozpiął go i wyjął aparat. Trzeba wszystko udokumentować, pomyślał. Octagon będzie próbował zrobić z ciebie kłamcę. Będą chcieli cię zdyskredytować, więc musisz być gotów do obrony. Musisz dowieść, że mówisz prawdę.

Wyszedł na polanę i ruszył w stronę sterty poczerniałych gałęzi. Trąciwszy je butem, poczuł swąd spalonego drewna. Cofnął się, czując dreszcz na plecach.

To były resztki stosu pogrzebowego.

Trzymając aparat w spoconych dłoniach, zdjął osłonę z obiektywu i zaczął robić zdjęcia. Zgliszczą chaty. Leżący w trawie dziecięcy sandalek. Jaskrawy strzępek tkaniny wyrwany z sari. Wszędzie, gdzie spojrzeł, widział śmierć.

Obrócił się w prawo, dostrzegając w wizjerze ścianę zieleni, i miał właśnie zrobić kolejne zdjęcie, gdy jego palec znieruchomiał na przycisku.

Na krawędzi klatki mignęła jakaś postać.

Odsunął aparat od oka i wyprostował się, obserwując drzewa. Nie zobaczył niczego prócz kołyszących się gałęzi.

Czyżby coś poruszyło się na skraju jego pola widzenia? Dostrzegł jedynie ciemny kształt między drzewami. Może to małpa?

Musiał dalej robić zdjęcia. Szybko zmierzchało.

Minął kamienną studnię i poszedł w kierunku budynku z blaszanym dachem, szeleszcząc w trawie nogawkami spodni i rozglądając się na prawo i lewo. Drzewa zdawały się mieć oczy i obserwowały go. Zbliżywszy się do budynku, zauważył, że jego ściany wypalił ogień. Przed drzwiami leżała sterta popiołu i poczerniałych gałęzi. Kolejny stos pogrzebowy.

Obszedł zabudowanie i zajrzał przez drzwi.

Początkowo niewiele zobaczył w mrocznym wnętrzu. Zapadał już zmierzch, a w środku było nawet ciemniej. Widział jedynie odcienie czerni i szarości. Przystanął na chwilę, by wzrok przywykł do braku światła. Z rosnącym zdumieniem dostrzegł lśnienie świeżej wody w glinianym dzbanku. Poczul zapach przypraw. Jak to możliwe?

Za jego plecami trzasnęła gałązka.

Odwrócił się błyskawicznie.

Na polanie stała samotna postać. Drzewa znieruchomiały, zamilkły nawet ptaki. Postać podeszła do niego, poruszając się dziwnym nierównym krokiem, i zatrzymała w odległości metra.

Redfield cofnął się przerażony. Aparat wypadł mu z rąk.

To była kobieta. Bez twarzy.

# Rozdział pierwszy

Nazywali ją Królową Zmarłych.

Choć nikt nie powiedział jej tego prosto w oczy, doktor Maura Isles słyszała czasem, jak wypowiedano za jej plecami ten przydomek, gdy wykonując swoją pracę, poruszała się w posepnym trójkącie między salą sądową, miejscem zbrodni i kostnicą. Nierzadko wyczuwała w tym mroczną nutkę sarkazmu: „Oho, nadchodzi nasza pogańska bogini po nowe ofiary”. Czasem w tych szeptach pobrzmiwał niepokój, jak w szemraniu pobożnych, wśród których pojawia się niewierny. Był to niepokój ludzi, którzy nie potrafili zrozumieć, dlaczego kroczy śladami śmierci. Czyżby sprawiało jej to przyjemność?, zastanawiają się. Czy dotykanie zimnego ciała i odór rozkładu tak ją pociągają, że odwróciła się od żywych? Uważają, że to nie może być normalne i rzucają w jej kierunku niespokojne spojrzenia, dostrzegając szczegóły, które tylko umacniają ich w przekonaniu, że jest dziwaczką. Cera w kolorze kości słoniowej, czarne włosy przycięte jak u Kleopatry. Na ustach

czerwona szminka. Kto się maluje, idąc na miejsce zbrodni? A przede wszystkim niepokoi ich jej opanowanie, chłodne królewskie spojrzenie, lustrujące okropności, których widok oni z trudem znoszą. W przeciwieństwie do nich nie odwraca wzroku. Pochyla się nisko, przygląda, dotyka. I wącha.

A potem, w jaskrawym świetle prosektorium, zaczyna kroić.

Teraz przecinała skalpelem wyziębioną skórę i lśniąca pod nią warstwę żółtawego tłuszczu. Ten człowiek lubił hamburgery i frytki, pomyślała, rozcinając nożycami żebra i unosząc trójkątną tarczę mostka, tak jak otwiera się drzwi kredensu, aby odsłonić jego cenną zawartość.

Serce leżało wtulone w gąbczastą tkankę płuc. Przez pięćdziesiąt dziewięć lat tłoczyło krew w organizmie pana Samuela Knighta. Dojrzewało i starzało się z nim, przechodząc transformację, podobnie jak on sam, od młodego, szczupłego mięśnia do przetłuszczonego narządu. Wszystkie pompy w końcu zawodzą i podobnie było z tą w piersi pana Knighta, gdy siedział w pokoju hotelowym w Bostonie, włączywszy telewizor i postawiwszy na nocnej szafce szklankę whisky z minibarku.

Nie zastanawiała się, o czym mógł myśleć w ostatnich chwilach i czy odczuwał ból lub strach. Chociaż badała najbardziej intymne zakamarki jego ciała, rozcinała skórę i trzymała w dłoniach jego serce, pan Samuel Knight pozostał dla niej obcy. Milczący i niewymagający, chętnie powierzał jej swoje sekrety. Zmarli są cierpliwi. Nie skarżą się, nie grożą, nie zwodzą pochlebstwami.

Zmarli nie krzywdzą. Ból zadają żywi.



Pracowała ze spokojem i wprawą, usuwając wnętrzności z klatki piersiowej i kładąc wydobyte serce na blacie. Za oknem wirował pierwszy grudniowy śnieg. Białe płatki szeptały za szybami i opadały na alejki. Ale tu, w laboratorium, słyhać było tylko odgłos lejącej się wody i szum wentylatora. Jej asystent, Yoshima, milczał, przewidując jej polecenia i pojawiając się, gdy tylko go potrzebowała. Pracowali razem dopiero półtora roku, lecz działali jak jeden organizm, złączeni telepatią dwóch logicznych umysłów. Nie musiała go prosić, by ustawił lampę. Sam to zrobił, kierując światło na ociekające krwią serce i podając jej nożyczki.

Ciemne cętki na ścianie prawej komory i biała blizna na koniuszku serca opowiadały jego smutną historię. Zawał, przed wieloma miesiącami, a nawet latami, zniszczył już część ściany lewej komory. Potem, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nastąpił kolejny zawał. Zakrzep zablokował prawą tętnicę wieńcową, tamując dopływ krwi do mięśnia prawej komory.

Wycięła tkankę na badanie histologiczne, wiedząc już, co zobaczy pod mikroskopem. Skrzep i martwicę. Zastępy białych krwinek, nacierających niczym obronna armia. Może pan Samuel Knight sądził, że kłucie w piersiach jest skutkiem niestrawności. Nie powinien jeść na obiad tyle cebuli. Wystarczy pewnie raphacholin. A może wystąpiły bardziej złowieszcze objawy, które zignorował: ucisk w piersiach, duszności. Z pewnością nie przyszło mu do głowy, że ma atak serca.

Że umrze z powodu zaburzeń rytmu.

Serce leżało teraz otwarte i pocięte na blacie. Spojrzała na tors, pozbawiony wszystkich narządów. Tak kończy się pański służbowy wyjazd do Bostonu, pomyślała. Nie ma tu żadnych niespodzianek. Żadnej zbrodni, z wyjątkiem szkód, jakie wyrządził pan własnemu organizmowi, panie Knight.

Zabrzączał interkom. Była to Louise, jej sekretarka.

— Doktor Isles?

— Tak?

— Detektyw Rizzoli na drugiej linii. Odbierze pani?

— Już.

Maura ściągnęła rękawiczki i podeszła do aparatu wiszącego na ścianie.

Yoshima, który płukał narzędzia w zlewie, zakręcił kran. Odwróciwszy się, patrzył na nią w milczeniu tygrysimi oczami, wiedząc już, co oznacza telefon od Rizzoli.

Kiedy Maura odwiesiła w końcu słuchawkę, zobaczyła jego pytające spojrzenie.

— Wcześniej się dziś zaczyna — westchnęła, po czym zdjęła fartuch i wyszła z kostnicy, by wprowadzić do swego królestwa kolejnego poddanego.

□ □ □

Poranny opad białego puchu zmienił się w zdradliwą mieszaninę śniegu z deszczem, a miejskich pługów jakoś nie było widać. Jechała ostrożnie wzdłuż Jamaica Riverway. Opony chrzęściły w głębokiej rozmokłej mazi, a wycieraczki skrobały oszronione szyby. To była pierwsza śnieżna zamieć tej zimy i kierowcy musieli dopiero przywyknąć do nowych

warunków. Kilka aut wpadło już w poślizg. Minęła zaparkowany radiowóz z błyskającymi światłami. Policjant stał obok kierowcy dźwigu pomocy drogowej i obaj patrzyli na samochód, który leżał w rowie.

Opony jej lexusa zaczęły się ślizgać i przedni zderzak obrócił się nagle w kierunku aut jadących z przeciwka. Wdepnęła w panice hamulce i poczuła, jak uruchamia się system antypoślizgowy. Zjechała z powrotem na swój pas. Niech to szlag, pomyślała z bijącym sercem, wracam do Kalifornii. Jechała w żółtym tempie, nie bacząc na to, że na nią trąbią i że tamuje ruch. Wyprzedzajcie mnie, kretyni. Widziałam zbyt wielu takich jak wy na moim stole.

Droga prowadziła do Jamaica Plain, dzielnicy w zachodnim Bostonie z dostojnymi starymi domami, dużymi trawnikami, cichymi parkami i alejkami nad rzeką. W lecie było to zielone ustronie, dające schronienie przed miejskim hałasem i upałem, ale teraz, pod chmurnym niebem i przy wietrze smagającym zmarniałą trawę, wyglądało ponuro.

Miejsce, którego szukała również robiło posępne wrażenie. Budynek stał za wysokim, oplecionym gęstym bluszczem, kamiennym murem, który przypominał barykadę broniącą przed światem. Z ulicy widziała tylko gotyckie zwieńczenia pokrytego dachówką dachu i jedno strzeliste szczytowe okno, które wpatrywało się w nią jak ciemne oko. Stojący przed główną bramą radiowóz był potwierdzeniem, że trafiła pod właściwy adres. Dotychczas przyjechało tylko kilka samochodów, oddziały szturmowe, poprzedzające całą armię techników kryminalistyki.

Zaparkowała po drugiej stronie ulicy, przygotowana na pierwszy podmuch wiatru. Wsiadając, poślizgnęła się i omal nie upadłszy, zawisła na drzwiczkach samochodu. Gdy się podźwignęła, poczuła na łydkach strużki lodowatej wody z mokrego rąbka płaszcza, który dotknął śniegowej brei. Stała nieruchomo przez kilka sekund w zacinającym deszczu ze śniegiem, zdziwiona, jak szybko to wszystko się wydarzyło.

Rzuciła okiem na policjanta, siedzącego w radiowozie po drugiej stronie ulicy. Przyglądał jej się i z pewnością widział, jak się poślizgnęła. Zawstydzona, wzięła z przedniego siedzenia torebkę, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła z największą godnością, na jaką było ją stać, po oszronionym asfalcie.

— Wszystko w porządku, pani doktor? — zawołał z radiowozu policjant. Wcale nie była zachwycona jego troskliwością.

— Nic mi nie jest.

— Proszę uważać w tych butach. Na dziedzińcu jest jeszcze bardziej ślisko.

— Gdzie detektyw Rizzoli?

— W kaplicy.

— Jak tam trafić?

— Nie zabłądzi pani. Na drzwiach jest wielki krzyż.

Podeszła do frontowej bramy, ale była zamknięta. Na murze wisiał żelazny dzwon. Pociągnęła za sznurek i średniowieczny metaliczny brzęk zamarł powoli w cichym szmerze padającego śniegu. Tuż pod dzwonem wisiała brązowa tabliczka z napisem częściowo przysłoniętym przez brunatny bluszcz.

## Graystones

Klasztor Sióstr Najświętszej Maryi od Bożej Światłości

*Żniwo jest w istocie wielkie, ale robotników niewielu.*

*Módlcie się zatem, aby przysłano robotników na żniwo.*

Po drugiej stronie bramy pojawiła się nagle kobieta w czerni. Nadeszła tak cicho, że Maura wzdrygnęła się, zobaczywszy między prętami jej twarz. Była to twarz staruszki, poorana tak głębokimi zmarszczkami, jakby zapadała się do środka, ale jej oczy lśniły, przenikliwe jak u ptaka. Zakonnica nie odezwała się, spojrzała tylko na nią pytająco.

— Jestem doktor Isles z Urzędu Lekarza Sądowego  
— przedstawiła się Maura. — Wezwała mnie tu policja.

Brama otworzyła się ze skrzypieniem.

Maura weszła na dziedziniec.

— Szukam detektyw Rizzoli. Podobno jest w kaplicy.

Zakonnica wskazała drugą stronę dziedzińca, po czym odwróciła się i podreptała powoli do najbliższych drzwi, zostawiając Maurę, by sama dotarła do kaplicy.

Płatki śniegu wirowały i tańczyły pośród zimnych kropli deszczu, jak białe motyle krążące wokół swych przyciężkich pobratymców. Najprostsza droga do kaplicy prowadziła przez dziedziniec, ale kamienie pokryte były lodem, a buty Maury, ze śliskimi podeszwami, zupełnie nie nadawały się na takie warunki. Zapуściła się więc w wąski zadaszony krużganek, który okrężał dziedziniec. Osłaniał ją od deszczu, ale nie od wiatru, który przenikał ją na wylot. Była zaskoczona zimnem. Przypomniała sobie, jak okrutny potrafi być grudzień

w Bostonie. Przez większość życia mieszkała w San Francisco, gdzie lśniące płatki śniegu były rzadką rozkoszą, a nie udręką, jak te, które wdzierały się teraz pod okap i szczypały ją w twarz. Zaczęła iść bliżej ściany i szczerzej otuliła się płaszczem, mijając ciemne okna. Zza bramy dochodził przytłumiony szmer ruchu ulicznego na Jamaica Riverway. Odgródzona murami, słyszała jedynie ciszę. Wydawało się, że nie ma tu nikogo prócz zakonnicy, która ją wpuściła, więc gdy zauważyła trzy twarze wpatrujące się w nią z jednego z okien, była w szoku. Zakonnice stały w milczeniu za szybą niczym czarne zjawy, obserwując intruza, który wchodzi do ich sanktuarium. Gdy je mijala, nie spuszczały z niej wzroku.

Wejście do kaplicy zagrodzone było żółtą policyjną taśmą, która zwisała, ciężka od szronu. Maura podniosła ją, by dostać się do środka.

Gdy pchnęła drzwi, oślepił ją nagle błysk flesza. Znieruchomiała. Drzwi zamknęły się za nią powoli z cichym trzaśnięciem. Zamrugła gwałtownie. Odzyskawszy ostrość widzenia, zobaczyła rzędy drewnianych ławek, bielone ściany, a w głębi kaplicy wiszący nad ołtarzem ogromny krucyfiks. Było to posepnie surowe wnętrze, którego mroczność pogłębiały jeszcze witraże, przepuszczające niewiele światła.

— Proszę się nie ruszać. I uwaga pod nogi — ostrzegł fotograf.

Maura spojrzała na kamienną posadzkę i zobaczyła krew. Były tam też ślady butów. Cała masa. I szpitalne śmieci. Osłonki igieł i podarte opakowania strzykawek. Pozostałości po wizycie karetki. Ale żadnych zwłok.

Rozejrzawszy się, zauważyła w przejściu podeptaną białą tkaninę i czerwone plamy na ławkach. W tym lodowatym pomieszczeniu z jej ust unosiły się obłoczki pary, a teraz poczuła, że zrobiło się jeszcze zimniej i przeniknął ją dreszcz. Dostrzegając plamy na ławkach, zrozumiała, co się wydarzyło.

Fotograf zaczął pstrykać kolejne zdjęcia, za każdym razem oślepiając ją fleszem.

— Pani doktor? — W głębi kaplicy dostrzegła burzę ciemnych włosów, gdy detektyw Jane Rizzoli wyprostowała się i pomachała do niej. — Ofiara jest tutaj.

— Co to za krew tu, przy drzwiach?

— Należy do drugiej ofiary, siostry Ursuli. Sanitariusze zabrali ją do Świętego Franciszka. W głównej nawie jest jeszcze więcej krwi i ślady butów, które próbujemy zabezpieczyć, więc proszę iść lewą stroną. Blisko ściany.

Maura przystanęła, by założyć na buty papierowe ochraniacze, a potem obeszła kaplicę, trzymając się blisko ściany. Dopiero gdy minęła pierwszy rząd ławek, zobaczyła ciało zakonnicy. Leżała na wznak, a jej habit był czarną plamą na tle wielkiej czerwonej kałuży. Ręce miała obwiązane folią dla zabezpieczenia dowodów zbrodni. Maurę zaskoczył jej młody wiek. Zakonnica, która otworzyła bramę, i te, które widziała w oknie, były starszankami. Tu ujrzała o wiele młodszą kobietę. Miała uduchowioną twarz i jasnyniebieskie oczy, zastygłe w wyrazie niewysłowionego spokoju. Jej blond włosy były przystrzyżone na długość dwóch centymetrów. Rozcięta skóra na ciemieniu stanowiła świadectwo potwornych ciosów.

— Nazywała się Camille Maginnes. Siostra Camille. Z Hometown w Hyannisport — wyjaśniła Rizzoli chłodnym, rzeczowym tonem. — Była pierwszą nowicjuszką od piętnastu lat. Miała składać śluby w maju. — Zamilkła, dodając po chwili: — Skończyła dopiero dwadzieścia lat. — Nie potrafiła ukryć gniewu.

— Jest taka młoda...

— Tak. Potwornie ją sponiewierał.

Maura założyła rękawiczki i przykucnęła, by obejrzeć zwłoki. Narzędzie zbrodni pozostawiło nierówne, szarpane rany na głowie. Przez rozciętą skórę wystawały fragmenty kości i wyciekła grudka szarej substancji. Sina twarz była właściwie nietknięta.

— Zmarła, leżąc twarzą do ziemi. Kto odwrócił ją na plecy?

— Siostry, które ją znalazły — odparła Rizzoli.  
— Sprawdzały puls.

— O której znaleziono ofiary?

— Koło ósmej rano. — Rizzoli zerknęła na zegarek.  
— Prawie dwie godziny temu.

— Wie pani, co się wydarzyło? Co powiedziały siostry?

— Trudno było wydobyć z nich użyteczne informacje. Mieszka tu teraz tylko czternaście siostr i wszystkie przeżyły szok. Sądziły, że są bezpieczne, pod Bożą opieką, a tymczasem wtargnął do nich jakiś szaleniec.

— Są ślady włamania?

— Nie, ale na teren klasztoru nietrudno się dostać. Mury obrosnięte są bluszczem, bez problemu można po nim się wspiąć. Jest też tylna furka wychodząca na pole i ogród.



Sprawca mógł wejść również tamtędy.

— Są jakieś odciski butów?

— Kilka w kaplicy. Ale na zewnątrz przysypał je śnieg.

— Więc nie wiemy, czy sprawca faktycznie się włamał.

Mógł zostać wpuszczony przez główną bramę.

— To klasztor o ścisłej regule, pani doktor. Wpuszczają tylko księdza, gdy przychodzi odprawiać mszę i spowiadać. Jest też gospodyni, która pracuje na plebanii. Pozwalają jej przyprowadzać małą córeczkę, bo nie ma pieniędzy na opiekunkę. Ale to wszystko. Nikt inny tu nie wchodzi bez zgody przeoryszy. A siostry pozostają w zamknięciu. Wychodzą tylko do lekarza lub gdy wydarzy się coś w rodzinie.

— Z kim pani już rozmawiała?

— Z przeoryszą, matką Mary Clement. I dwiema zakonnicami, które znalazły ofiary.

— Co powiedziały?

Rizzoli pokręciła głową.

— Niczego nie słyszały ani nie widziały. Nie sądzę, by pozostałe siostry były w stanie wiele nam powiedzieć.

— Dlaczego?

— Widziała pani, w jakim są wieku?

— To nie znaczy, że nie potrafią myśleć.

— Jedna z nich jest po wylewie, a dwie mają Alzheimera. Większość śpi w celach bez widoku na dziedziniec, więc niczego nie mogły zauważyć.

Początkowo Maura tylko przykucnęła nad ciałem Camille, nie dotykając go. Pozwalając ofierze na ostatnią chwilę

godności. Nic ci już teraz nie sprawi bólu, pomyślała. Dotknąwszy palcami skóry na jej głowie, wyczuła chrzęst przemieszczających się fragmentów kości.

— Wielokrotne uderzenia. Wszystkie trafiły w ciemię albo potylicę...

— A twarz? To tylko plamy opadowe?

— Tak.

— A więc ciosy zadano od tyłu. I z góry.

— Napastnik był prawdopodobnie wyższy.

— Albo ona klęczała, a on nad nią stał.

Maura zastygła nieruchomo, dotykając zimnego ciała. Stał jej nagle przed oczami wstrząsający obraz młodej zakonnicy, klęczącej z pochyloną głową przed napastnikiem, który zadaje jej ciosy.

— Co za skurwiel morduje zakonnice? — spytała Rizzoli.

— Co się, do cholery, dzieje z tym światem?

Maura skrzywiła się na te słowa. Choć nie pamiętała, kiedy po raz ostatni postawiła nogę w kościele, i już dawno przestała wierzyć, poczuła się niezręcznie, słysząc przekleństwa w świętym miejscu. Tak wielką siłę miała indoktrynacja z dzieciństwa, że nawet ona, uważająca świętych i cuda za fantazje, nie ośmieliłaby się zakląć w obliczu krzyża.

Rizzoli była jednak zbyt wściekła, by dbać o dobór słów nawet w kościele. Włosy miała w większym nieładzie niż zazwyczaj, lśniły w nich topniejące płatki śniegu. Błada skóra pokrywała ostro zarysowane kości policzkowe, oczy błyszczały gniewnie w półmroku. Do ścigania potworów Jane Rizzoli zawsze pobudzał słuszny gniew. Tego dnia jednak

była jak w gorączce, jakby trawił ją wewnętrzny ogień.

Maura nie chciała podsycać tych płomieni. Starła się zachować obojętny ton i zadawać rzeczowe pytania. Zajmować się faktami, a nie emocjami.

Podniosła rękę siostry Camille i sprawdziła staw łokciowy.

— Jest wiotki. Nie ma stężenia pośmiertnego.

— A więc minęło mniej niż pięć, sześć godzin?

— Poza tym tu jest zimno.

— Naprawdę? — Rizzoli prychnęła pogardliwie, wydychając obłok pary.

— Chyba około zera. Stężenie pośmiertne następuje z opóźnieniem.

— Jak długim?

— Niemal nieograniczonym.

— A co z plamami opadowymi?

— Mogą wystąpić w ciągu pół godziny. To raczej nam nie pomoże w ustaleniu czasu zgonu.

Maura otworzyła torbę i wyjęła termometr do pomiaru temperatury powietrza. Zobaczywszy, ile warstw odzieży ma na sobie ofiara, postanowiła nie mierzyć jej temperatury w odbycie, dopóki ciało nie zostanie przewiezione do kostnicy. Pomieszczenie było słabo oświetlone — w tych warunkach nie mogła przed włożeniem termometru miarodajnie stwierdzić, czy ofiara została zgwałcona. Ściąganie odzieży w tym momencie groziło też zatarciem śladów zbrodni. Wyjęła więc tylko strzykawkę, by pobrać płyn z ciała szklistego do zbadania pośmiertnego poziomu potasu. To da jej przybliżony czas zgonu.

— Proszę mi opowiedzieć o drugiej ofierze — poprosiła Maura, nakłuwając lewe oko Camille i wciągając powoli do strzykawki płyn.

Rizzoli jęknęła z odrazą i odwróciła głowę.

— Ofiara znaleziona przy drzwiach to siostra Ursula Rowland, sześćdziesiąt osiem lat. Twarda staruszka. Podobno poruszała rękami, gdy ładowali ją do karetki. Frost i ja dotarliśmy tutaj, gdy odjeżdżali.

— Jest ciężko ranna?

— Nie widziałam jej. Według ostatnich doniesień ze szpitala jest właśnie operowana. Wielokrotne złamanie czaszki i krwotok do mózgu.

— Jak u tej dziewczyny.

— Tak. Jak u Camille. — W głosie Rizzoli znów pobrzmiwał gniew.

Maura wyprostowała się, drżąc z zimna. Od dotyku przemoczonych spodni zlodowaciały jej łydki. Przez telefon poinformowano ją, że zbrodnia miała miejsce w zamkniętym pomieszczeniu, więc nie zabrała z samochodu szalika ani wełnianych rękawiczek. W nieogrzewanej kaplicy było niewiele cieplej niż na smaganym deszczem i śniegiem dziedzińcu. Wsunęła ręce w kieszenie płaszcza, zastanawiając się, jak Rizzoli, która też nie miała rękawiczek i szalika, wytrzyma tyle czasu w takim zimnie. Policjantka zdawała się jednak nosić w sobie własne źródło ciepła, żar gniewu, i choć siniały jej wargi, nie spieszyła się najwyraźniej do cieplejszego pomieszczenia.

— Dlaczego tu jest tak zimno? — spytała Maura. — Nie

wyobrażam sobie, by odprawiali tutaj msze.

— Nie robią tego. Siostry w zimie nigdy nie korzystają z tej części budynku. Zbyt drogo kosztowałoby ogrzewanie. Niewiele ich tu zresztą mieszka. Msze odprawiają w małej kaplicy obok plebanii.

Maura pomyślała o trzech sędziwych zakonnicach, które widziała w oknie. Te siostry były jak nikłe płomienie gasnące jeden po drugim.

— Skoro nie używają tej kaplicy, co robiły tu ofiary?

Rizzoli westchnęła ciężko, wydychając obłok pary niczym smok.

— Nikt tego nie wie. Przeorysza twierdzi, że po raz ostatni widziała Ursulę i Camille na modlitwach minionej nocy, koło dziewiątej. Gdy nie pojawiły się na porannych modłach, siostry zaczęły ich szukać. Nie spodziewały się, że znajdą je tutaj.

— Te ciosy w głowę. To wygląda na atak szału.

— Ale proszę spojrzeć na jej twarz. — Rizzoli wskazała na Camille. — Nie uderzył jej w twarz. Oszczędził ją. Jakby nie miał nic do niej osobiście. Jakby nie atakował jej, tylko to, co symbolizuje.

— Autorytet? Władzę?

— Zabawne. Powiedziałabym raczej, że wiarę, nadzieję i miłosierdzie.

— Cóż, chodziłam kiedyś do katolickiej szkoły.

— Pani? — Rizzoli prychnęła pogardliwie. — Nigdy bym nie zgadła.

Maura wciągnęła głęboko do płuc zimne powietrze i spoj-

rzała na krzyż, przypominając sobie lata nauki w liceum Świętych Niewiątek. I udreki, jakich doznawała od siostry Magdalene, nauczycielki historii. Nie były to cierpienia fizyczne, lecz duchowe, zadawane przez kobietę potrafiącą szybko rozpoznać, które dziewczyny wykazują, jej zdaniem, nadmierną wiarę w siebie. Gdy Maura miała czternaście lat, jej najlepszymi przyjaciółmi nie byli ludzie, lecz książki. Dobrze radziła sobie z nauką i była z tego dumna. To sprowadzało na nią gniew siostry Magdalene. Dla dobra Maury jej bezbożna duma z własnego intelektu musiała ustąpić pokorze. Zakonnica realizowała to zadanie ze zjadliwą gorliwością. Ośmieszała Maurę przed klasą, pisała cięte uwagi na marginesie jej bezbłędnych prac i wzdychała głośno, gdy dziewczyna podnosiła rękę, by o coś zapytać. W końcu zmusiła ją do milczącej rezygnacji.

— Siostry mnie zastraszały.

— Sądziłam, że niczego się pani nie boi, pani doktor.

— Przeraza mnie wiele rzeczy.

— Ale nie zwłoki, prawda? — zaśmiała się Rizzoli.

— Są na tym świecie potworniejsze zjawiska.

Zostawiły ciało Camille na jej łożu z zimnego kamienia i wróciły do zaplamionego krwią miejsca na posadzce, gdzie znaleziono żyjącą jeszcze siostrę Ursulę. Fotograf skończył już pracę i wyszedł. W kaplicy pozostały tylko Maura i Rizzoli, dwie samotne kobiety, których głosy odbijały się echem od surowych murów. Maura zawsze uważała kaplice za uniwersalne sanktuaria, gdzie nawet dusza niewierzącego może znaleźć pociechę. Ona jednak nie znajdowała ukojenia

w tym posepnym miejscu, które nawiedziła śmierć, żywiąca pogardę dla świętych symboli.

— Siostra Ursula leżała tutaj — powiedziała Rizzoli.

— Głową w kierunku ołtarza i nogami w stronę drzwi.

Jakby padała na twarz przed krucyfiksem.

— Ten facet to pieprzony bydlak — ciągnęła gniewnie.

— Mamy do czynienia z szaleńcem. Albo jakimś naćpanym dupkiem, który chciał coś ukraść.

— Nie wiemy, czy to mężczyzna.

Rizzoli machnęła ręką w kierunku ciała siostry Camille.

— Myśli pani, że zrobiła to kobieta?

— Kobieta potrafi zamachnąć się młotkiem i roztrzaskać czaszkę.

— Znaleźliśmy odcisk buta. Tam, w połowie nawy. Wygląda mi na męską dwunastkę.

— Może to któregoś z sanitariuszy?

— Nie, ich ślady są tutaj, koło drzwi. Tamten jest inny. Zostawił go sprawca.

Wiatr uderzał w okna, a drzwi zaskrzypiały tak, jakby ciągnął je ktoś niewidzialny, próbując rozpaczliwie dostać się do środka. Rizzoli miała sine z zimna wargi i trupioblada twarz, ale najwyraźniej nie zamierzała schronić się w cieplejszym pomieszczeniu. To była cała ona, zbyt uparta, by skapitulować. By przyznać, że ma dość.

Maura spojrzała na kamienną posadzkę w miejscu, gdzie leżała siostra Ursula i musiała przyznać rację Rizzoli, że ten atak był aktem szaleństwa. Widziała je w plamach krwi i w ciosach, które roztrzaskały czaszkę siostry Camille. Kryło

się za nimi szaleństwo lub zło.

Przeszły ją ciarki. Wyprostowała się i utkwiała wzrok w krucyfiksie.

— Jestem przemarznięta — powiedziała. — Możemy gdzieś się ogrzać? I napić kawy?

— Już pani skończyła?

— Zobaczyłam, co miałam zobaczyć. Resztę wyjaśni sekcja.